



D·A·R·I·U·S·Z

**DOMAGALSKI**

**CHEREM**

TA KSIĄZKA WSTRZĄSNIE TWOJĄ OPINIĄ  
O CHRZEŚCIJAŃSTWIE

# Jak zaliczyć wpadkę

*Fahrenheit Crew*



Dariusz Domagalski

*Cherem*

Fabryka Słów 2011

Stron: 328

Cena: 34,65 zł

Cykl krzyżacki Dariusza Domagalskiego przeczytałem z zainteresowaniem. I kiedy w moje ręce trafiła powieść tego autora „Cherem”, miałem nadzieję na ciekawą, trzymającą w napięciu książkę. Niestety, jedyne odczucie, jakie pozostało we mnie po lekturze, to potężne rozczarowanie.

Z okładki zachęcającą czerwienią krzyczy do mnie informacja, że powieść „wstrząśnie moją opinią o chrześcijaństwie”. Nie wstrząsnęła – bardziej szokujące newsy można wyczytać w dostępnych od lat na rynku pozycjach, których autorzy w ten czy inny sposób chcą zbulwersować czytelnika, podając mu swoją interpretację Starego bądź Nowego Testamentu. Wprawdzie Domagalski Biblii nie tyka, wynajdując sobie nowe, fantastyczne źródło, ale w ostatecznym rozrachunku efekt szokujący nie jest – przynajmniej dla mnie.

Co mam do zarzucenia książce? Wiele.

Przede wszystkim – bohaterowie, pierwszo-, drugo- i każdoplanowi – prości i jednoznaczni, jakby wybrani z katalogu. Menel Józek, który się stoczył, bo jego żona to zła kobieta była. Maks, były kickbokser, obecnie mafijny cyngiel, typ o – jakżeżby inaczej – zimnych, stalowych oczach. Szczypior i Mały, para dresiarских matołów jak z dowcipu. Matka studenta, szampowa karykatura religijnej kobiety, zwariowanej na punkcie syneczka. Roztargniony profesor, obowiązkowo w niechlujnych, rzadko zmienianych, niegustownie dobranych ubraniach. Marta, kochanka mafiosa, jakby rodem z mokrego snu niewyżytego gimnazjalisty (tę kreację akurat usprawiedliwiam, z uwagi na to, kim ostatecznie kobieta się okazuje). Chciwy ksiądz, którego myśli obracają się wokół zawartości tacy,

natychmiast zapominający o mężczyźnie w kościele, udreńczonym i najwyraźniej pragnącym pocieszenia. I wielu innych.

Po drugie – nieprawdopodobieństwo zachowań i postępowania postaci. Jestem człowiekiem w pewnych latach, poznałem w życiu sporo bliźnich, niekoniecznie od ich najlepszej strony. Mój wrodzony zmysł krytyczny nie kupuje studenta (pierwszego roku? już nie pamiętam...), który rozwiązał zagadkę tajemniczych tabliczek w jedną noc, podczas gdy profesor (ten niechlujnie ubrany) potrzebuje na to kilku ładnych dni. Oleg Tichonow, były żołnierz, obecnie wielki mafioso, wiąże się z Martą, o której nic nie wie, poza tym, że jest piękna, zmysłowa i perfekcyjnie umie zacierać za sobą ślady. Z uwagi na to, kim kobieta naprawdę się okazuje, jego erotyczne szaleństwo jest w pełni zrozumiałe, jednak absolutnie nieprawdopodobne wydaje mi się, że mafioso, człowiek mający na sumieniu kilka tysięcy gigantycznych przekrętów i życie kilkuset ludzi, powierza tajemniczej damie wszelkie swoje sekrety, także i te „służbowe”. Jakby nie był zahartowanym w ogniu walki żołnierzem i inteligentnym mafiosem-biznesmenem, lecz roznamiętnionym gimnazjalistą właśnie, z przypisanymi temu wiekowi: brakiem życiowego doświadczenia oraz uleganiu impulsom. I dlaczego bez skrępowania rozmawia o swoich interesach z Camorrą z oficerem ABW? Owa lekkomyślność wydaje mi się nie na miejscu u członka mafii tej rangi.

Po trzecie – zdumiewa mnie, z jaką łatwością kolejni bohaterowie akceptują podsuwaną im przez autora koncepcję, że osobliwych, krwawych zabójstw dokonuje istota nadprzyrodzona. Wydawać by się mogło, że owi akceptujący mogliby wykazać nieco więcej sceptycyzmu. Dlaczego Formela na widok nadawcy kontenera od razu przypomniał sobie legendę o kapłanie? Dlaczego Kamiński i Rafalski tak od razu na nią przystali? Sorokina rozumiem – zetknął się z napastnikiem twarzą w twarz, widział, jak zabija, spostrzegł, że nie szkodzą mu kule, których wpakował mu cały magazynek. Ale inni?

Nie lubię rozwiązań typu „deus ex machina”. Niestety, tu takie otrzymałem. Przez całą książkę Kamińskiego dręczą dziwne sny, i w ostatecznym rozrachunku okazuje się to w pełni zrozumiałe. Ale kiedy bohater jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przeżywa olśnienie i w jednej chwili dowiaduje się, kim naprawdę jest i jakie ma zadanie do wypełnienia – nie, to mnie nie przekonuje. Podobnie jak końcowa walka i ostateczne motywy postępowania Marty (pozostajemy przy tym imieniu).

Bardzo mi przykro, ale jedyna pozytywna rzecz, jaką mogę powiedzieć o „Cherem”, jest taka, że autor dobrze przygotował się merytorycznie do pisania. Poznajemy szczegóły dotyczące kultu Baala, funkcjonowania trójmiejskiego portu, nawet detale dotyczące działania Sołncewskiej Braci są logiczne, prawdopodobne i zrozumiałe. Niestety, to za mało. Podczas lektury miałem wrażenie, że zagłębiając się w pozbawiony polotu debiut, a nie kolejną pozycję w dorobku autora z niemałym doświadczeniem. I bardzo mi z tego powodu przykro, bo powieść ta sprawiła, że po inne dzieła tego autora raczej nie sięgnę. A przynajmniej nie w tej chwili.

Na koniec – rzecz, którą muszę napisać, aczkolwiek z wielkim bólem. Ogromnie cenię Rafała Dębskiego jako autora i jako tłumacza – Niestety, nie jako redaktora. Kiedy przeczytałem, że bohater chciał wynająć apartament w hotelu „on-exclusive” (s. 136), pomyślałem, że może jestem niedoinformowany, i obok hoteli all inclusive istnieją również i powyższe. Nie istnieją. Kiedy bohater „ubrał okulary przeciwsłoneczne” (s. 122), poczułem nieprzyjemny dreszcz, podobnie jak przy „białej koszuli, którą chłopak ubrał chyba po raz pierwszy w życiu” (s. 266). Przy oficerze ABW, który „pomknął niczym strzała wystrzelona z procy” (s. 205) uśmiechnąłem się, ale jakoś tak smutno. Ale kiedy trafiłem na scenę, w której emerytowany oficer wchodzi do szklarni, leżącego na ziemi mężczyznę bierze za pijaka i zaczyna okładać kijem, a pół strony dalej mam opis bitego („Twarz nieboszczyka była zmasakrowana, brzuch i klatka piersiowa rozszarpane, a wnętrzności wylały się na zewnątrz, zalegając między gałązkami soczystych pomidorów. Nieco dalej leżało wyrwane serce

(...)”, s. 166-167), to jakoś trudno mi uwierzyć, by podobnego delikwenta można było wziąć za śpiącego pijaka, i to w biały dzień. Wpadek jest więcej, i redaktorskich, i korektorskich. Niestety, kwiatki typu „Choć tu do mnie”, „kule świszczą w powietrzu”, „lokowane włosy” i inne podobne dobiły - moim zdaniem - tę i tak rozczarowującą książkę.

*Kazimierz Kozłowski*